Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Numer wspinający się przede mną po szerokich szczeblach drabiny ubrany był jak ja w płócienne buty i luźny, biały kombinezon z gęstego płótna. Słońce prażyło, materiał na plecach i pod pachami zdążyły mu zabarwić ciemne plamy. Musiałem wyglądać podobnie. Próbowałem odgadnąć, czy to mężczyzna, czy kobieta. Nie żeby mi to było do czegoś potrzebne. Zwykła ciekawość. Szedł chwiejnie, krokiem nowicjusza. Łysy czerep szklił się w słońcu od potu. Dzieliła nas przepisowa odległość czterech szczebli. Bałem się, że nie utrzyma ciężaru, cegły zsuną się z nosidła na plecach i runą na mnie. Żeby nie patrzeć w dół, tam, gdzie się zaczynała opasająca Mur szeroka wstęga szarej ziemi, zacząłem liczyć. Jeden, dwa. Jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Zbliżona do ideału. Z zadartą głową, ostrożnie pokonując kolejne szczeble, powtarzałem w myślach: jeden, dwa, jeden, dwa, jeden, dwa.

Z lewa i prawa pięły się po przystawionych do Muru drabinach setki bliźniaczych postaci. W pokrytych pyłem białych kombinezonach podobni do gigantycznych, ślamazarnych larw, wszyscy o jednako bezwłosych czaszkach, pochyleni pod ciężarem cegieł równo ułożonych w drewnianych nosidłach. Pracowałem już cztery godziny i z utęsknieniem wyczekiwałem krótkich przerw, gdy po złożeniu na szczycie Muru kolejnej partii cegieł wślizguję się do kosza przypisanej do mojego sektora jednoosobowej windy, a ta ze skrzypieniem lin i jękiem drewnianych kołowrotów zwozi mnie z wysokości sześciu pięter na dół, zapewniając cenne sekundy odpoczynku, zanim znowu stanę na twardym gruncie i zamelduję się po nowy ładunek. Zazdrościłem szczęśliwcom, którym dziś wypadło pracować w pobliżu Wieży Trzech Praw. Monolit o ścianach wyłożonych białym marmurem, zwieńczony iglicą z republikańską flagą Jedności, stał na północnych obrzeżach placu apelowego, niemal dokładnie naprzeciwko głównej Bramy, i o tej porze dnia dawał nielicznym upragniony cień.

Dziwna rzecz. Zdążyłem o Wieży pomyśleć, gdy na jej szczycie zagrała trąbka, zwiastując południe i porę zmiany strażników.

Wtedy numer przede mną zrobił coś, czym ściągnął na siebie moją uwagę i przykuł spojrzenie strażnika na najbliższej wieży wartowniczej. Najpierw z wprawą, jakiej i ja mógłbym się od niego uczyć, zdjął jak należało ciężar z pleców i złożył na szczycie Muru, obok stosów cegieł czekających na budowniczych; zaraz potem jednak płynnym ruchem, jakby ściągał z siebie zbyt luźną skórę, uwolnił się od ubrania, na koniec zsuwając buty. Przez jedną krótką chwilę widziałem spodnią część jego stóp. Wypalone lub wycięte ostrym narzędziem, na wpół zabliźnione rany odcinały się purpurą od bladej skóry podeszew, tworząc rysunek krzyża, znak, jakim handlarze bydła dawniej znakowali najsłabsze sztuki w stadzie, te przeznaczone na wybicie. Tym samym znakiem chrześcijańskie sekty przez wieki opatrywały swoje świątynie.

Strażnik właśnie zamierzał wpuścić zmiennika; widząc, co się dzieje, cofnął się od metalowych drzwi wieży wartowniczej, szarpnięciem zdjął przewieszony przez ramię karabin i wycelował. Wstrzymałem oddech. Wyobraziłem sobie jego palec na spuście i z ciekawością, o jaką bym się nie posądzał, czekałem na strzał. Powstrzymał się jednak. Uruchomił przycisk syreny i z dziesiątków megafonów popłynął jękliwy, wdzierający się pod czaszkę dźwięk.

Numer odwrócił się do mnie twarzą. Blade, pozbawione jednego włoska ciało, z klatką wystających żeber i dyndającym przyrodzeniem pod płaskim brzuchem. Mężczyzna. Napotkał moje spojrzenie. Uśmiechnął się, jakby właśnie na to czekał. Coś krzyknął, ale jazgot syreny zagłuszał słowa. Potem się odwrócił i zobaczyłem już tylko oddalające się plecy, kiedy w dwóch susach pokonał szeroki w tym miejscu mur i skoczył.

Megafony zatrzeszczały i jeden po drugim, jak psy gubiące trop, ucichły. Wszyscy staliśmy tam, gdzie zastał nas alarm. Rozległ się zgrzyt pośpiesznie otwieranej Bramy i tupot nóg wybiegających strażników.

Niezadługo wrócili. Byłem pewien, że Brama zaraz się zatrzaśnie a trup, skoro tylko obmyją go z krwi, jeszcze tego samego dnia zawiśnie na placu apelowym. Nic podobnego się nie stało. Przy wtórze gwizdków usłyszałem głos Kapitana wydającego rozkazy. Zaterkotały silniki wojskowych samochodów i nawet do miejsca, gdzie stałem, dotarło popiskiwanie detektorów obracających się na dachach wozów. Zbierały sygnały tak, jak tropiące psy łowiły zapachy. Na dźwięk klaksonu kolumna ruszyła.

Słuchając, jak brama się zamyka a ryk silników oddala się i ostatecznie zamiera, szukałem racjonalnego wyjaśnienia tego, co na własne oczy ujrzałem. Jakiż człowiek przeżyłby skok z wysokości dwudziestu metrów na twardą ziemię? Jeśli nawet odniósł obrażenia, to niezbyt poważne, skoro o własnych siłach podjął ucieczkę.

Kapitan pozostał na miejscu, bo z megafonów popłynęły teraz jego rozkazy. Posłusznie wszedłem na ostatni szczebel i złożyłem nosidło z cegłami na szczycie Muru. Prostując zesztywniałe plecy, nie wiedzieć czemu pewny, że tego dnia podobne wykroczenie ujdzie mi płazem, wybiegłem spojrzeniem na drugą stronę. Jak okiem sięgnąć idealnie płaski, pozbawiony roślinności krajobraz, którego sztucznej harmonii nic nie burzyło. Samochody krążyły nieporadnie po tej rozległej pustce, wolnej od głazów, strumieni, wzniesień czy uskoków, błyskając w słońcu antenami i co rusz zmieniając kierunek, z tej odległości podobne do wielkich owadów, obżartych i przez to nieco otępiałych.

Jednak udało mu się uciec, powiedziałem głośno, bo stojąc na Murze nie musiałem się bać, że ktoś usłyszy.

Wszyscy pojedynczo na plac apelowy, zarządził Kapitan.

Pojedynczo, z przyzwyczajenia powtórzyłem. Jeden to wszyscy, wszyscy to jeden. Nie mamy imion ani nazwisk. Mikroskopijna płytka wszczepiona w kciuk lewej ręki zawiera wszystko, co Republika o każdym musi wiedzieć – począwszy od daty urodzenia po aktualny stan zdrowia. Informacje można modyfikować, samej płytki jednak nie sposób się pozbyć, chyba że z kciukiem. Byłem pewien, że kiedy przywiozą uciekiniera – bo że go wytropią i sprowadzą z powrotem, nie wątpiłem nawet przez chwilę – kciuk będzie na swoim miejscu. Podobno dawniej się zdarzało, że zwierzę schwytane w sidła, dla ratowania życia odgryzało unieruchomioną kończynę; ale o dawnym świecie mówi się wiele dziwnych rzeczy.

Pojedynczo na plac apelowy, ryknął Kapitan. Zupełnie niepotrzebnie, bo ze wszystkich stron, porzucając narzędzia i pracę, ciągnęliśmy od strony Muru w długich, uporządkowanych szeregach, stopniowo dołączając do kolumn już ustawionych na miejscu zbiórki w karnym ordynku, twarzami do Wieży Trzech Praw. Nad placem łopotała biała flaga Jedności. „Biała jak serce Jakuba Martensa, który nas stworzył, zrównał w prawach i obdarzył wolnością”.

Zmierzałem na swoje miejsce, powtarzając jak automat słowa szkolnej czytanki o białym sercu prezydenta Martensa. Równo odmierzałem kroki. Jeden, dwa. Jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Zbliżona do ideału.